

Zbigniew Lisowski

EPIZODY Z KRESOWEGO DZIECIŃSTWA

Zamiast notki biograficznej

Przed wybuchem wojny mieszkaliśmy w Wilkiszkach, gdzie ojciec mój był nauczycielem i jednocześnie kierownikiem pięknej szkoły, którą w ciągu paru lat nie tylko zbudował, lecz również otoczył wspaniałym sadem, ogrodem i - częściowo - aleją srebrnych świerków. W czasie totalitarnej dyktatury dwóch kolejnych okupantów mieszkaliśmy w Skubiatach, Wojcieszunach (k. Solecznik) i Jaszunach. W 1946 roku, ostatnim już transportem, przybyliśmy "do Polski" - jak się to wówczas mówiło, ulegając mimowoli okupacyjnej propagandzie - a ściśle: do Polski centralnej.

Spróbuję teraz przedstawić kilka epizodów z mojego wschodniego, kresowego dzieciństwa, które przypadło na lata 1931-1946.

Wojna

Był koniec sierpnia lub początek września 1939 r. Wczesny poranek złotej jesieni polskiej, gdy cały sad stał już w płomieniach żółto-czerwonych kolorów. Ojciec zbudził mnie lekkim dotknięciem dłonią dość chłodną do mego rozgrzanego snem policzka i powiedział jakimś dziwnym, zduszonym głosem:

- Zbyszku, zobacz, ułani jadą - na wojnę...

Choć moja ośmioletnia świadomość nie była jeszcze zdolna do analizy wszystkich implikacji tkwiących jak kolce - o czym już wkrótce boleśnie się przekonałem - w słowie 'wojna', to jednak z zapartym tchem patrzyłem przez okno na ciągnące drogą, w tumanach złocistego kurzu, oddziały ułanów z pikami, przy których trzepotały się na wietrze biało-czerwone chorągiewki. Był to widok bardzo mi bliski, ponieważ często bawiłem się "w ułana", przebierając się w piękny, kompletny strój ułański, który dostałem kiedyś w prezencie od rodziców na jakieś imieniny czy urodziny. Bawiłem się naj-

częściej sam, gdyż jako jedynak dzieciństwo miałem raczej samotne, zwłaszcza że szkoła, w której mieszkaliśmy, znajdowała się na samym krańcu Wilkiszek, między dwoma niewielkimi lasami, na wyżynie stromo opadającej ku Mereczance.

"Ułani, ułani, chłopcy malowani" walili ciągle piaszczystą drogą, a ojciec trzymał mnie na rękach w milczeniu. W pewnym momencie przetarł sobie jedno oko, a potem drugie. Teraz wiem, co ten gest mógł oznaczać.

Żołnierze przez wiele dni biwakowali na podwórku i w sadzie, oficerowie siadywali przy olbrzymim, okrągłym stole pod równie ogromną lipą, by tam spożywać posiłki przyrządzone przez moją matkę, wspomagana przez służącą i nianię. Byłem tak zafascynowany widokiem ułanów, koni i sprzętu wojskowego, że nawet zdarzyło mi się kiedyś zaniedbać odbycie wędrowki do miejsca, gdzie ponoć nawet sami królowie muszą chodzić piechotą. Pech sprawił, że wówczas, gdy skutki owego zaniedbania porządnie wypchnęły już siedzenie moich nowiutkich, białych spodenek, jeden z ułanów zaproponował mi rzecz, o której od wielu dni marzyłem: jazdę na koniu, osiodłanym, oczywiście. Zanim zdołałem wykrztusić słowo, wojak z rozmachem rzucił mnie na siodło. Prowadząc konia za uzdę, zrobił kilka okrążeń podwórka. Ale co sobie o mnie pomyślał? Może - co najgorsze - przypuszczał, że zrobiłem to ze strachu?

Co się z "moimi" ukochanymi ułanami stało? Ilu ich zginęło, ilu jeszcze może żyje?

Potem zaczęły się już kolejne okupacje - i mieliśmy do czynienia z żołnierzami niemieckimi, litewskimi i sowieckimi, a także bandami własowców, rozlokowanych w głębiach Puszczy Rudnickiej. Na szczęście, te złe moce trzymała w ryzach Armia Krajowa, która zdołała się doskonale po klęsce zorganizować - i miała dwa główne swoje ośrodki: w Miednikach Królewskich i w Turgielach, miasteczku będącym miniaturową stolicą miniaturowej Rzeczypospolitej Polskiej.

Wyprawa

Gen. Plechavičius, inspirowany przez siły nacjonalistyczne, wręcz szowinistyczne, postanowił raz na zawsze zlikwidować Polaków mieszkających na Wileńszczyźnie, zwłaszcza zaś niezwykle aktywną i skuteczną na tym terenie Armię Krajową. Stolicą Rzeczypospolitej Wileńskiej (tak Ją wówczas nazywaliśmy) było - jak już wspomniałem - miasteczko Turgiele, dokąd przed wojną jeździliśmy lub chodziliśmy do kościoła. Raz nawet uczestniczyłem jako widz w uroczystej defiladzie wojskowej, gdy udało mi się przedrzeć przez litewsko-niemieckie kordony. Drugim co do wielkości zgrupowaniem AK były wówczas Miedniki Królewskie, zresztą miejsce urodzenia mej matki.

Otóż gen. Plechavičius zgłosił okupacyjnym władzom niemieckim propozycję utworzenia armii litewskiej, która w pierwszej instancji miałaby zlikwidować polską partyzantkę, głównie AK, a następnie doprowadzić do końca eksterminację ludności polskiej, no i, oczywiście, żydowskiej. I tak powstała potężna, znakomicie uzbrojona armia, która wyprawiła się na główne zgrupowania AK. Pamiętam doskonale, z jakim panicznym strachem i nieposkromioną ciekawością zarazem przyglądałem się temu gigantycznemu cielsku, które wiło się "gościńcem", połyskując w słońcu wypolerowaną stalą. Armia litewska miała wziąć nasze wojska partyzanckie w kleszcze okrążenia i zgnieść je błyskawicznie jak orzech. Lecz kleszcze sił polskich okazały się jeszcze większe. Podczas gdy szaulisi próbowali oskrzydlić akowców, akowcy właśnie ich brali w okrążenie... Akcja przebiegła tak szybko, tak niespodziewanie, że wojownicy gen. Plechavičiusa musieli się poddać niemal bez jednego strzału. I to, co miało zakończyć się dla nas dramatem, a raczej tragedią, zakończyło się dla Litwinów farsą: zostali bowiem rozbrojeni, pozbawieni mundurów i ... guzików od kalesonów. Dzielnym szaulisom dano bardzo krótki czas na "rozejście się". Dlatego uciekając z pola bitwy niedoszłej musieli nader mocno trzy-

mać w garściach górne rejony swych kałesonów, by im w czasie rejterady nie opadły, bo to i wstyd byłby, i nogi spętałyby się nimi w tzw. kostkach. W rezultacie Niemcy podobno armię rozwiążali, pozostawiając jedynie szwadrony śmierci, przeznaczone do likwidowania Polaków i Żydów, gdyż sami tzw. mokrą robotą na Wileńszczyźnie raczej się nie zajmowali. Od tego czasu słuch o generale Plechavičiusie zaginął. Że litewska historia o fakcie tym milczy, to zrozumiałe. Ale dlaczegoż nasza magistra vitae nabrała wody w usta swoje?

Nic też ta nauczycielka nie mówi na temat ogromnego miejsca egzekucji i cmentarzyska zarazem tysięcy Żydów i Polaków, rozstrzelanych na podwileńskich Ponarach, zalesionych wzgórzach, które dzisiaj stanowią już może jakąś nowoczesną dzielnicę Wilna... Nie udało mi się dotrzeć do żadnej na ten temat informacji. Nurtuje mnie ustawicznie myśl: jak wyglądają Ponary teraz, co tam się dzieje, czy prowadzone są jakieś badania?

Echa leśne

Koncert śmierci rozpoczynał się zwykle o świcie. Karabiny maszynowe były głównymi, "prowadzącymi" instrumentami w tej szatańskiej orkiestrze. Ale często rozlegały się też jakieś pojedyncze strzały, zakłócając nieco rytmikę nie kończących się serii, trwających chyba nieprzerwanie od wczesnego rana do późnego wieczora. Widocznie "pracowano" na zmianę. Jeśli dobrze pamiętam, główna akcja szwadronów śmierci trwała przez dwa tygodnie. Te złowrogie "echa leśne" dochodziły do nas z odległych o 9 km zalesionych wzgórz pod Jaszunami, gdzie masowo rozstrzeliwano Żydów. Odgłosy strzałów wwiercały się nam w uszy jak świdry, zdawały się ostrzami swymi wbijać się w mózgi, drażąc je coraz głębiej, przebijając włókna wszystkich nerwów. Posiłki spożywaliśmy w nocy, bo w dzień jedzenie wyłaziło nam z ust. Prawie ze sobą w dzień nie rozmawialiśmy. Każdy w milczeniu i osobno przeżywał tragedię, której kolejne akty rozgrywały się tak niedaleko.

Bezpośrednio po głównej "akcji" szwadronów śmierci, ojciec postanowił udać się wraz ze mną - bym dał kiedyś "świadecko prawdzie" - na to straszne miejsce pod Jaszunami. W pamięci do dziś pozostał mi wstrząsający obraz, który - gdybym był malarzem posługującym się kategorią tragicznej ironii - zatytułowałbym "Martwa natura z dłońmi i modlitewnikami". Z porytej szpadlami i strzałami ziemi wyrastały łodygi rąk nie zakopanych. Sterczały ku niebu jakby wołając Boga o pomstę nad zbrodniarzami. Na całym obszarze bielili się - niczym resztki topniejącego na wiosnę śniegu - modlitewniki lub wyrwane z nich kartki.

- Dobrze zapamiętaj to wszystko - powiedział ojciec świszczącym szeptem. Do domu wracaliśmy w milczeniu. W nocy dostałem gorączki.

W okrażeniu

Pozostające na usługach Niemców litewskie szwadrony śmierci stosowały najczęściej następującą metodę: u schyłku nocy okrążały szczerze upatrzoną miejscowość, a potem - już o brzasku, by tym większy wywołać popłoch wśród jej mieszkańców - stopniowo zacieśniały swój ogromny początkowo krąg niczym pętlę na gardle skazańca.

Zabierano ludzi do obozów koncentracyjnych (których zresztą na Wileńszczyźnie było chyba niewiele), więźniów, wysyłano na roboty do Niemiec, a w najlepszym przypadku wykorzystywano na miejscu jako siłę roboczą, na przykład przy budowaniu fortyfikacji, mających chronić przed napadem ze strony AK. Zdarzało się też, że spędzano całą ludność do drewnianych budynków (kościółków, szkół, stodół, zwanych zresztą na Wileńszczyźnie gumnami), zamykano je na klucze, kłódki lub rygle, oblewano benzyną czy naftą i podpalano. W taki właśnie sposób żywcem spalono np. mieszkańców Święcian lub też Nowych Święcian. Była to bardzo głośna wówczas sprawa. Historycy również i jej chyba w swych kronikach nie odnotowali.

Kiedys, o brzasku właśnie, poderwał nas ojciec ze snu, oznajmiając, że całe Skubiaty są okrążone. Na dalekim horyzoncie rysowały się złowieszczo sylwetki żołnierzy, ustawionych obok siebie co kilkanaście kroków. A piękna, piętrowa szkoła, w której wówczas mieszkaliśmy, zbudowana w okresie dwudziestolecia międzywojennego, była drewniana...

Ojciec miał zawczasu przygotowane dwa schowki. W jednym z nich, tzn. w podwójnym suficie ganku, czyli w podwójnej podłodze stryszku, który się nad nim znajdował, umieścił mnie. Matkę wcisnął do przybudówki obok schodów, której dwie deski można było wyjmować. Sam schronił się w szkolnym "wychodku", zbudowanym na krańcu boiska. Gdyby ludzi spędzono wtedy do szkoły w wiadomym celu, nie zdołalibyśmy się uratować. Rzecz zakończyła się szczęśliwie, gdyż szaulisi zabrali ze sobą tylko kilkunastu młodych mężczyzn do prac fortyfikacyjnych w Jaszunach, gdzie Niemcy spodziewali się odwiedzin AK.

My Ślązacy

Lecz kiedyś odwiedziło nas dwóch żołnierzy niemieckich. Kazali ojcu prowadzić do mieszkania kierownika szkoły, Jankauskasa, przed wojną, "za Polski" - po prostu Jankowskiego. Ale kierownik prysnął. Zapewne przez okno, choć mieszkanie to znajdowało się na piętrze. Jeden ze szkopów wyciągnął szufladę biurka i oczom naszym - bo i ja tam się znalazłem - ukazał się lśniący pistolet czy też rewolwer, już dziś nie pamiętam. Niemiec gwizdnął ostro i przeciągle.

- Mamy rozkaz rozstrzelać wszystkich mieszkanców domu, w którym znajdziemy broń - poinformował łamaną polszczyzną. - Ale nie zrobimy tego, bo my Ślązaki - dodał po dłuższej chwili, by jeszcze bardziej zwiększyć efekt swojej prostoduszności.

Ojciec zaprosił ich do nas, a sam skoczył na wieś, by za jakąś tam błyskotkę złotą kupić kiełbasy i samogonu. Uczta była wspaniała. Ślązacy rozgadali się na dobre i po paru godzinach odjechali do Jaszun.

Okazało się, że p. Jankauskas był w litewskiej partyzantce, która

porządnie dawała się Niemcom, a także szaulisom i żołnierzom gen. Plechavičiusa we znaki. Jankauskas był bardzo porządnym człowiekiem - i takich Litwinów też wówczas nie brakowało.

Tif

W głębinach odległej od Skubiat o 10 km Puszczy Rudnickiej "siedzieli" własowcy, czyli armia ukraińska gnieźdząca się w potężnych bunkrach, otoczonych polami minowymi, rowami i zasiekami z drutu kolczastego. Nocami watahy własowców dokonywały rabunkowych wypadów w promieniu kilkunastu kilometrów, by o brzasku powracać obładowanymi wozami do swych wilczych gniazd. Kiedyś zakołatali, a raczej załomotali i do naszych drzwi. Wynurzyli się z ciemności najeżeni karabinami. Była godzina jedenasta. Matka leżała już w łóżku, ojciec właśnie zamierzał udać się na spoczynek. Pytali o wędlinę, słoninę, ubranie i biżuterię. Jednakże niczym takim nie dysponowaliśmy. Obrączki ślubne rodziców, srebrny sygnet rodowy i dokumenty ukryte były w podwójnym dnie biurka. Zachowywali się wprost dżentelmeńsko. Jeden z nich spytał ojca, czy może zapalić i poprosił o popielniczkę... Nagle któryś ze starszyny spytał, wskazując na leżącą matkę, która zakryła sobie kołdrą prawie całą twarz:

- Kto eto?

- Majá žená - wyjaśnił ojciec.

- Czto, aná balnaja?

Zanim ojciec zdołał zaprzeczyć, matka wyjęczała spod kołdry niby spod ziemi:

- Da, tif...

Na wieść o tyfusie wojacy ukraińscy natychmiast się ulotnili, dyskretnie zabierając ze sobą mniej znaczące drobiazgi.

Może otworzyć?

Nierzadko pojawiali się u nas żołnierze Armii Krajowej, zwłaszcza zwiadowcy prowadzący rozpoznanie, którym ojciec przekazywał zdobyte

przez siebie informacje. Kiedyś przynieśli całe naręcza długiej broni (karabiny zwykłe i maszynowe) z jakiejś dalekiej wyprawy. Ponieważ nadciągał brzask, postanowili broń przechować u nas. Gdy odjechali, ojciec część karabinów ukrył w podwójnej podłodze stryżka nad gan-kiem, a resztę miał zamiar schować pod stopniami drewnianych scho-dów wiodących na pierwsze piętro. Lecz nagle rozległo się stukanie do drzwi. Ojciec bez chwili namysłu wcisnął pozostałe chyba ze trzy karabiny między drzwi podwójne, którymi można było wyjść z pokoju bezpośrednio na klatkę schodową. My chodziliśmy zwykle przez kuchnię, tak że drzwi zewnętrzne były zamknięte na głucho. Ojciec błyskawicznie zamknął na klucz również drzwi wewnętrzne i klucz gdzieś schował. Po chwili już otwierał drzwi. Do mieszkania wpadli trzej żołnierze niemieccy. Zajrzeli do szafy, do biurka, do kredensu kuchennego. Wreszcie spytali:

- A co to za drzwi?

- To wyjście bezpośrednie na klatkę schodową, może otworzyć?

Niemiec machnął ręką na znak, że nie trzeba, i kazał prowadzić do mieszkania kierownika, którego już zresztą nigdy od czasu jego ucieczki nie widzieliśmy. Tu wszyscy trzej dokonali rewizji, lecz bez żadnych rezultatów. Wkrótce też odjechali. Ale ojciec wolał te trzy karabiny ukryć w podwójnej podłodze rzeczonego stryżka.

Trudne i niebezpieczne było to nasze życie na Kresach. Ale naj-bardziej nie strach, tylko głód dawał mi się we znaki. Sprzedaliśmy, a raczej wymieniliśmy na żywność już prawie wszystkie meble, ubrania co lepsze, drobne tzw. kosztowności. Ojciec nie chciał pracować w szkolnictwie okupantów, wolał wynajmować się do robót polowych, takich jak koszenie zboża lub łąki, kopanie kartofli, orka, bronowanie, sia-nie. Ja z matką chodziłem do stasiłskiego lasu na jagody i grzyby, które wymienialiśmy na cukier, sól i naftę w sołecznikowskiej spół-dzielni "Ruta", oczywiście, po wielogodzinnym staniu w kolejce. Nocami wyprawiałem się na pola opanowanych przez Niemców majątków,

by "nasmyrgać" do torby trochę owsa, żyta lub nawet pszenicy. Często palce miałem porżnięte do krwi, zwłaszcza kłosami jęczmienia. Raz wyprawiliśmy się z ojcem po kapustę. Była ciemna noc. Nacięliśmy cały worek co większych główek. Ale nie było można wycofać się do pobliskiego lasu, ponieważ zajaśniał nagle i niespodziewanie księżyc w całej swej złocistej pełni... Nagle też ujrzelśmy w oddali jakiś cień. Szybko zbliżał się ku nam. Zamarliśmy w bezruchu. Był to strażnik. Na szczęście Polak. Powiedział, że gdyby był w towarzystwie strażnika niemieckiego, musiałby do nas strzelać. Mieliśmy kapusty kiszzonej na całą zimę. Zimą kradliśmy z lasów "państwowych" drzewo na opał. W śniegu po pas ścinałliśmy brzozy, ładowaliśmy ciężkie bale na pożyczane od gospodarzy sanie i wieźliśmy te trofea do domu, mając przy tym pełną świadomość, że w razie niefortunnego spotkania ze strażnikami lub z jakimikolwiek umundurowanymi przedstawicielami władz okupacyjnych grozi nam "śmierć na miejscu" - jak się to wówczas mówiło. Państwo Wędziegolscy z oddalonego o 9 km majątku, jeszcze nie zarekwirowanego przez Niemców, zaoferowali nam bezpłatnie mleko, po które chodziłem dwa razy tygodniowo. Wtedy matka gotowała potrawę nie lada: zacierkę na mleku! Z bogatej biblioteki pp. Wędziegolskich wypożyczałem piękne książki, które pozwalały mi zapomnieć o smutnej i tak trudnej rzeczywistości.

Gdy nadeszła trzecia okupacja, nic się właściwie w naszym życiu nie zmieniło. Lęk i głód nadal chwytaly nas za gardła. Zaczęły się wywózki Polaków na Sybir i do innych, wcale nie metaforycznie mrozących krew w żyłach, okolic i krain wielkiej "ojczyzny stu narodów". Ze szczególną zaciekleścią niszczonego inteligencję: księży, oficerów, policjantów, prawników, nauczycieli, członków różnych związków patriotycznych, a nawet zwykłych urzędników, zresztą wszystkich Polaków, tak przez Stalina i rzekomego hrabiego - Skriabina - znienawidzonych. Ponieważ po otwarciu drzwi, do których łomotano przeważnie nocami, i usłyszeniu formuły "adiewajsia" należało natychmiast z

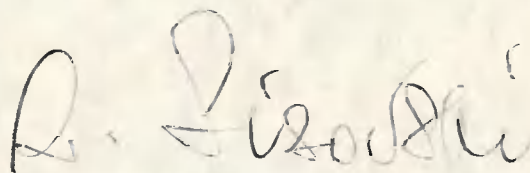
mieszkania wychodzić, przeto spaliśmy zawsze w ubraniach, a spakowane "czemadany" stały tuż przy drzwiach w ciągłym pogotowiu niczym strażnicy. Los okazał się dla nas łaskawy. Zresztą może dlatego, że ojciec już swoje w "Czerezwyczajce" kijowskiej odsiedział, a raczej odstał w lodowatej wodzie, która do celi ciągle skądś spływała. Zwolniono go dopiero wtedy, gdy skazany został na ... gruźlicę płuc... Wiedzianno, że wcześniej czy później wyrok i tak zostanie wykonany. Mój wujek, Aleksander Wyszniwski, urzędnik wileńskiej Izby Skarbowej, został wywieziony do Workuty. Udało mu się przeżyć. Przeżył też Kołymę mój brat cioteczny, Jerzy Kościuk, choć wrócił do Polski spuchnięty i spowity w łachmany żebracze, jakie się czasem widzi tylko w filmowych opowieściach o nędzy ludzkiej.

Mieszkaliśmy wtedy w Jaszunach, w jedynym domku znajdującym się na zalesionym i zakrzaczonym "półwyspie", gdyż niemal wokół otaczała nas wijąca się tu w iście węzowych skrętach rzeka, której nazwy już dziś nie pamiętam. I właśnie wówczas - w ciągu chyba dwóch tygodni - słychać było głucho armatnie kanonady. To Armia Krajowa zdobywała Wilno, zaciekle bronione przez zdeterminowanych Niemców. Ta lipcowa, zwycięska akcja AK, nosząca nazwę "Ostra Brama", miała miejsce w roku 1944. (Mimowolnie przypomina się mi w tej chwili fragment "Widzenia" ks. Piotra: "A imię jego będzie czterdzieści i cztery"...). Epilog tej bitwy był do przewidzenia: wojska radzieckie wzięły - nie spodziewających się żadnego podstępu sojuszników - "w plen" i popędziły na Sybir. Pamiętam, jak jeden z tych niewolników, a tak niedawno jeszcze bohaterskich zwycięzców, wyrwał się na chwilę na nasz "półwysep", by zakopać dokumenty wojskowe. Ojciec namawiał go do pozostania w naszej zielonej, odgradzonej od świata enklawie. Ale on obawiał się, że byłoby to zbyt ryzykowne. Czy przeżył syberyjskie, białe piekło?

Głód trapił nas ciągle. Jedliśmy tylko zupę z kradzionego,

czasem zarobionego, zboża, najczęściej owsa, "smyrganego" nocami na kołchozowych - tym razem - polach. Od święta bywała zupa grochowa. Czasami zdarzał się przysmak w postaci ryby. Żołnierze sowieccy granatami lub strzałami do wody "głuszyli" nieraz ryby. Pływające na powierzchni wody zgarniali, reszta zostawała do dyspozycji nas, nazywanych przez nich "pacanami". Prości żołnierze traktowali nawet mniejszych chłopaków po koleżeńsku. Zupełnie odmiennie zachowywała się "starszyná", także wobec dorosłych. Oczywiście, zawsze przed spotkaniem z sowietami smarowałem błotem ręce, żeby nie wyglądać na poniczyka. Zresztą po wkroczeniu Rosjan wszyscy tak postępowali, gdyż "biełoruczkich" - jako panów i wyzyskiwaczy - chwymano w pierwszym rzędzie. Najbardziej ucierpieli właściciele majątków. Niedaleko szkoły, ale już za Mereczanką, był wielki majątek Gierytza, któremu udało się chyba umknąć przed karzącą dłońią Armii Czerwonej. Lecz Bielawskiego poddano okrutnym torturom. A przecież na majątek swój zapracował ciężką pracą w chicagowskich rzeźniach, by wrócić do Polski z dużym kapitałem i wykręcającym mu stawy reumatyzmem.

Bodajże ostatnim transportem wyjechaliśmy z Wilna. Był rok 1946. Podróż trwała dwa tygodnie. W Polsce - jako repatrianci ze wschodu - staliśmy się "elementem" co najmniej niepewnym politycznie. I znowu wszystko zaczęło się od nowa.



Zbigniew Lisowski

08-101 Siedlce, ul. Podlaska 63 m. 1